

Od autora

Ta książka opowiada o szachowych emocjach.

Chodzi o aspekt rywalizacji wiążący się z intensywnym wysiłkiem szczególnego rodzaju. Garri Kasparow podkreśla, że proces reakcji na stres wyraża się przez „ogromne napięcie nerwowe towarzyszące szachistom – napięcie, które rośnie i opada przy każdym ruchu, przy każdym pomysle przychodzącym do głowy przy szachownicy. To napięcie trwa godzinami, a w miarę jak ważą się losy partii i zmieniają miejsca toczonych bitew, ta wyważona z pozoru gra staje się huśtawką emocji”.

Czy taki żywioł wpisany jest w samą naturę szachów? Trudno o arbitralną odpowiedź. Istnieją bowiem dwie różne wizje szachowego współzawodnictwa. Pierwsza z nich kojarzy się przede wszystkim z Michaiłem Botwinnikiem i jego szkołą myślenia. Wielokrotny mistrz świata i wybitny teoretyk wraz ze swoimi uczniami pochylał się nad szachownicą jak nad mapą sztabową. Głęboka analiza danej pozycji pozwalała uchwycić rządzące nią prawidłowości. Przez analogię do matematyki poszczególne przypadki stawały się załączkami cennych uogólnień. Budowa dobrego planu strategicznego była warunkiem sukcesu. Harmonijny układ bierok dawał satysfakcję sztabowcom i, teoretycznie biorąc, powinien sprawdzać się w każdej sytuacji, jeśli nie frontowej, to laboratoryjnej.

Dążenie do czystej racjonalności jest przemożne. Nieuchronnie natrafia jednak na subiektywne i obiektywne przeszkody. Michaił Tal, który na krótko (1960–1961) odebrał Botwinnikowi koronę mistrza świata, traktował królewską grę z gruntu inaczej. Wyznawał: „Dla jednych szachowe piękno to triumf logiki. Przepiękna partia, według nich, to wspinały gmach o idealnych proporcjach, w którym każda cegiełka jest na swoim miejscu. (...) Mnie bardziej pociąga triumf alogiczności, irracjonalności, absurdu: na szachownicy toczy się zacięta walka, podporządkowana jakiejś idei, walka o to, aby urzeczywistnić jakiś plan, a o wyniku partii decyduje niewinny pioneczek, który nie ma nic wspólnego z głównym motywem dramatu”.

Kluczowe słowa w tej wypowiedzi to „irracjonalność” i „dramat”. Oba wyrywają się z terenu zamkniętego na sześćdziesięciu czterech klatkach



szachownicy. Kierują nas na inny, rozleglejszy obszar. Eksponują czynnik ludzki, a nie tylko rzeczowy. Owszem, gra szachowa ma swoje niepodważalne reguły, swoją charakterystyczną strukturę, swoją logikę. To jest rzecz podstawowa. Jednak bierkami władają żywi ludzie. Już we wczesnym stadium samodoskonalenia szachiści przekonują się, że w ich mikrokosmosie nie wszystko poddaje się kontroli. A później, w ogniu profesjonalnej rywalizacji, coraz częściej natrafiają na przeszkody. Wbrew potocznemu przekonaniu szachy nie sprowadzają się do niewzruszonego, logicznego porządku. Bywają chaosem. W momencie, kiedy realizują swój plan, przeciwnik niechybnie go przecież zakłóca. I z tego konfliktowego sprzężenia wyłania się coś nieprzewidzianego. W decydującej fazie bitwy uznane teorie wojenne nieraz ustępują żywiołowi improwizacji, którą Botwinnik deprecjonował.

Wedle ścisłego myślenia, dominującego zwłaszcza we współczesnej dobie komputerowej, partia szachowa redukuje się do zapisu cyfr i symboli. Co jednak się za nimi kryje? To pytanie nie przestaje nas nurtować. Podjęta tutaj przynajmniej częściowa próba odpowiedzi odwołuje się do wydobytych przez Tala owych słów kluczy. Znamienne przy tym, że świadectwa zmagania czystej racjonalności z irracjonalnością wcale nie mieszczą się w spodziewanym układzie dychotomicznym. W praktyce turniejowej tego samego szachisty przenikają się obie tendencje. I dalej: splot konkretnych okoliczności niejednokrotnie okazuje się ważniejszy od świadomie wybranego stylu gry i od charakteru gracza. Dopiero burzliwy żywioł walki wydobywa na powierzchnię zjawiska, które są powszechnikiem.

Z szachowego pojedynku nie sposób wyrugować zdarzeń niespodziewanych. Bezustannie zagrażają one surowemu projektowi architektonicznemu. Nie tylko walczymy z rywalem, ale też zmagamy się z własnymi słabościami. Dlaczego nieraz, w kryzysowym momencie, nie potrafimy wykorzystać dawno przyswojonej wiedzy? Dlaczego tak często zdarza się nam przegrywać partie, które były kompletnie wygrane, a innego znów dnia zręcznie wychodzić z beznadziejnego położenia? Dlaczego nawet szachowym koryfeuszom słynącym z precyzji zdarza się popełniać zadziwiająco banalne błędy? Jakie są rodzaje i konsekwencje gry pod presją? Czy znaczenie ma osobowość przeciwnika? Co przyczynia się do wzmocnienia lub osłabienia ducha walki?

W tym nasyconym emocjami świecie bardzo wiele zdarza się za kulisami. Doraźność jest tylko powłoką. Bywa, że przyczyny dramatu skrywają się gdzieś w prehistorii. Skala uczuć szachisty rozciąga się między ufnością wobec zasad a błyskiem innowacji, między instynktem zdobywcy a pokusą bezpieczeństwa, między porywem ku wielkości a doznaniem kryzysu, między dojmującą traumą a nagle odzyskaną siłą i nadzieją. Oby ów zaczyn bogatej dramaturgii przybliżył czytelnika do przesłania tej książki. Szachy można czytać jak literaturę.

W narracji znacznie częściej odnoszę się do przeszłości niż do współczesności. Jest to wybór świadomy. Chciałbym, aby młodzi gracze upewnili się, że szachy nie są wynalazkiem XXI wieku. Dlatego przykładowe partie pochodzą tutaj prawie wyłącznie z szachów klasycznych. Uważam, że przede wszystkim na nich można się uczyć, bo bardziej cechowało je dążenie do perfekcji niż kult doraźnej skuteczności. Dwudziestowieczni matadorzy płacili jednak wysoką emocjonalną cenę za to ambitne podejście. Nieoczekiwane zderzenie z przeszkodą jawiło im się jako koniec świata. W istocie szło raczej o prozaiczną prawidłowość. Daje do myślenia, że nawet poważny wysiłek analityczny, charakterystyczny dla dawnych czasów (czyli dla epoki, kiedy obowiązywał surowy limit czasu do namysłu i istniały dogrywki), nie zbudował wystarczającej zapory dla błędów. Cóż dopiero mówić o dziedzinie szachów szybkich, a szczególnie błyskawicznych. Są one dzisiaj lansowane przede wszystkim na potrzeby medialne i marketingowe. W arcymistrzowskim wykonaniu oglądamy je z wielką przyjemnością, ale bez większego pożytku poznawczego. Przypadkowość zdarzeń pojawia się nieuchronnie. Geneza błędów nikogo nie zajmuje. Przeoczenia powszednieją, tak samo jak „cudowne ocalenia”. Presja przestaje być ciężarem, skoro za chwilę gracze zasiadają do kolejnej partii. W tym samym, kilkuminutowym rytmie morale niespodziewanie upada, by równie raptownie się odrodzić. Nieznośna lekkość bytu? Może dlatego Magnus Carlsen, mimo swojego pragmatycznego podejścia, docenia wartość szachów klasycznych, z wolna dzisiaj spychanych na drugi plan.

Jawne czy ukryte emocje towarzyszą wszystkim graczom: wybitnym i przeciętnym, wielkim i małym. To usprawiedliwiłoby bezpośredniość, jeśli nawet nie zuchwałość, autorskiego komentarza. Człowiek, który przez kilkadziesiąt lat gry turniejowej (prawda, że czysto amatorskiej) zaledwie



otarł się o próg 2400 punktów Elo, mógłby uchodzić za upostaciowanie szachowego błędu. Ten krytyczny obserwator cudzych poczynań sam był graczem pokiereszowanym przez nerwicę. Cała opowieść ma poniekąd charakter autobiograficzny.

Niezależnie od osobistego, uczuciowego zaangażowania starałem się zachować dystans do opisywanych wydarzeń. Spojrzenie z zewnątrz bezlitośnie odziera je z patosu. Nawet najbardziej egzotyczne przygody doświadczone podczas gry planszowej nie dadzą się przecież porównać z poważnymi problemami żywymi. „Znaj p r o p o r c j ę, mocium panie” – chciałoby się strawestować cytata z Aleksandra Fredry. Stąd felietonowa konwencja tekstu. Nie stroni ona od języka potocznego, niejednokrotnie żywi się anegdotą, czyni użytek z form lapidarnych. Bibliografia, znacznie wybiegająca poza rejestr wykorzystanych przeze mnie źródeł, powinna czytelnikowi wynagrodzić brak przypisów. Literatura przedmiotowa zawiera najważniejsze pozycje związane z tematyką książki.

Jestem wdzięczny wielu osobom życzliwie sekundującym mi jako autorowi niespotykanej późno debiutującemu w dziedzinie pisarstwa szachowego. Asysta przy tej swoistej próbie ustanowienia rekordu Guinnessa zapewne była dla nich intrygującym doświadczeniem. Jan Adamski, Jacek Bielczyk, Agnieszka Brustman, Wiktor Dłuski, Andrzej Filipowicz, Jacek Gdański, Przemysław Jahr, Konstanty Kaiszauri, Jerzy Konikowski, Robert Kuczyński, Bartłomiej Macieja, Zygmunt Pioch, Andrzej Sydor, Janusz Szukszta – w najróżniejszy sposób, ale z jednakową empatią wspierali moje wysiłki. Szczególnie wiele zawdzięczam dyskretnym opiekunom powstającej książki, Waldemarowi Świciowi i Janowi Przewoźnikowi (1957–2023). Bez cennej pomocy Tomasza Lissowskiego w ogóle byłoby mi trudno sprostać zadaniu. Zasłużone podziękowania ominą jedynie Marię Marszałek. Wiadomo wszak, że żona szachisty jest z góry skazana na rolę męczennicy miłości.

O nerwicy poznawczej

Zwyczajny stolik, przy nim para podniszczonych krzeseł. Na stoliku szachownica zamknięta w obrębie sześćdziesięciu czterech pól, a na niej naprzeciwko siebie białe i czarne figurki, srożące się przed bojem w groźnych szykach. Nad szachownicą przyrząd do kontroli czasu, ponoć niewinny, choć wielu graczom przypominający klepsydrę. Znajomy widok dla mnie, jak i dla tych, co byli przede mną, oraz dla tych, co przyjdą po mnie. Wydawałoby się, że nic w tym obrazie się nie zmienia. Ale czy naprawdę?

Biorę do ręki lunetę, tę samą, która zdawała się otwierać kolejne sekwencje w starych filmach. W szarości i mroku błądzi ona w labiryncie ulic doszczętnie zniszczonej, powojennej Warszawy. Z biegiem czasu tych ruin jest mniej, połowa lat pięćdziesiątych w jakiejś mierze przywraca ludziom wolę życia. Szachiści, zazwyczaj mało wrażliwi na skoki dziejowego ciśnienia, też z wolna wychodzą z katakumb. Może dajmy zbliżenie na trójkę kilkunastoletków pochylonych nad szachownicą w którymś z pomieszczeń nowo wybudowanego Pałacu Kultury i Nauki. To Andrzej Adamski, Wojciech Zabierzański i Rafał Marszałek, współwzycięzcy mistrzostw młodzieży szkolnej stolicy w roku 1956, przygotowują się do lipcowego turnieju o ogólnopolski drużynowy prymat. W zanadrzu mają śmiercionośną broń, przygotowaną przez instruktora Janusza Szpotańskiego (zupełnie jeszcze nieświadomego, że kiedyś obudzi krwiożercze uczucia samego towarzysza Gomułki, pierwszego sekretarza KC PZPR). W odpowiedzi na 1.d4 Sf6 2.c4 d6 3.Sc3 mistrz radzi grać czarnymi 3...e5!, aby po narzucającym się 4.dxe5 dxe5 5.Hxd8 Kxd8 zapewnić sobie wygodną grę. Do rywała bowiem, najpierw niezmiernie zadowolonego, że pozbawił roszady nieprzyjacielskiego króla, dopiero po dłuższej chwili dotrze absencja hetmanów. A przecież w młodym wieku bez hetmanów grać nie sposób...

Dotkliwy brak źródeł, przede wszystkim poważnych książek, dawał się we znaki. Bardzo dobry (dzisiaj zapomniany) podręcznik Tadeusza Czarneckiego *Nauka gry w szachy* (1950) i kapitalny trud Zygmunta Szulce – *Końcowa gra szachowa. Króle i piony* (1954), były wyjątkami



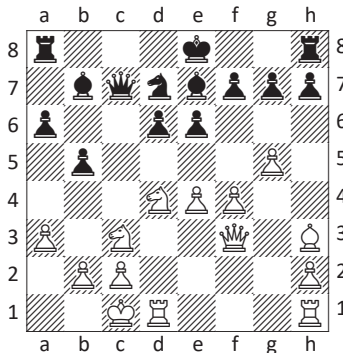
potwierdzającymi regułę. Z tym niedoborem radzono sobie na różne sposoby. Bardziej zaprawieni od innych gracze turniejowi stosowali z konieczności metodę prób i błędów. O zawyżonych jej kosztach można się przekonać, sięgając po stare roczniki pism szachowych. Rzesza amatorów marzących o postępie właściwie poruszała się po omacku. W cenie były autorytety bytujące gdzieś wysoko, za górami, za morzami.

We wrześniu 1959 roku, podczas pierwszej w życiu zagranicznej podróży, otwały się przede mną nieznane, fascynujące krajobrazy. Bynajmniej nie te, którymi zalecała się Słowenia, ale te związane z wielkimi szachami. Drużyna warszawskiego „Legionu” uczestniczyła w Bledzie w festiwalu szachowym w tym samym czasie, gdy po drugiej stronie jeziora rywalizowali ze sobą w turnieju pretendentów najlepsi na świecie arcymistrzowie. Tal, Keres, Smysłow, Petrosjan, Gligorić, Ólafsson, Benkő i szesnastoletni Bobby Fischer oddzieleni byli od nas, usadowionych na widowni, półtorametrową raptem odległością. Tak jakby bogowie za aprobatą Caissy zeszli na ziemię. Niezapomniane przeżycie zachowuję w pamięci mimo upływu sześćdziesięciu kilku lat, a może właśnie dlatego, że ci wszyscy, poza jednym, bohaterowie tamtej epoki już dawno odeszli.

W nostalgicznym wspomnieniu, przez kontrast, zachował się też pewien charakterystyczny epizod *pro domo mea*. W jedenastej rundzie turnieju w jednej z partii powstała następująca pozycja.

Svetozar Gligorić – Robert Fischer

Bled 1959



Ruch czarnych

Fischer zagrał **14...O-O-O**, co spotkało się z nieoczekiwaną dla niego (cóż dopiero dla mnie, raczkującego gracza...) repliką: **15.f5!?**. Po **15...Gxg5+ 16.Kb1 e5 17.Sdxb5! axb5 18.Sxb5 Hc5 19.Sxd6+ Kb8 20.Sxf7 He7 21.Sxh8 Wxh8 22.Whe1 Gf4 23.Hb3** i białe wygrały.

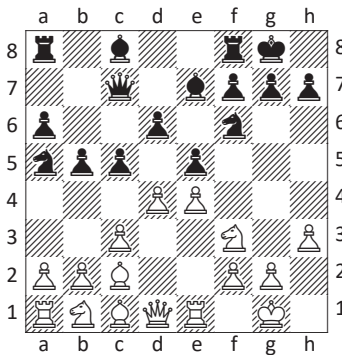
Śledziłem przebieg tego pojedynku z bliska. Zaimponował mi styl, w jakim Svetozar Gligorić rozprawił się z młodszym o dwadzieścia lat amerykańskim geniuszem. Najpierw ofiara pionka, wziętego przez czarne z szachem, potem oddanie dwóch skoczków za wieżę i pozycyjne wygody. Ach, gdyby samemu tak efektownie zagrywać...

Okazja zdarzyła się już niebawem. W partii rozgrywanej przeciw pewnemu szeregowemu jugosłowiańskiemu szachiście udało mi się ustawić pozycję kontemplowaną dwa dni wcześniej z takim podziwem. I ty potrafisz grać jak arcymistrz Gligorić! Może i tak, ale pod warunkiem, że przeciwnik będzie naśladować Fischera. Lecz po cóż właściwie miałby to robić? Można przecież roszować w krótką, a nie w długą stronę, zmieniając całkowicie charakter pozycji. Gdy tylko zobaczyłem ruch **14...O-O**, zgasły nadzieje na szybkie rozstrzygnięcie partii. Pierwotna euforia przemieniła się w rozczarowanie, a później zawładnął mną niepokój. I co teraz? Co teraz? Nowa pozycja była mi zupełnie obca, o wariacie Najdorfa w obronie sycylijskiej nie miałem bladego pojęcia. I oto zdenerwowany, osiemnastoletni snobek stanął przed arcytrudnym zadaniem. Agresywne **15.g6!?** z dalszą ofiarą na e6 nie przyszło mi nawet na myśl. Ruchu typu **15.Whe1** nie umiałem powiązać z rozsądnym planem. Pusta głowa zdołała jeszcze podpowiedzieć **15.Whg1**, ale niestety bez żadnych konkretów. Spóźniony z ideowym f4–f5, ruch za ruchem pogarszałem swoją pozycję, by w końcu skapitulować. Pamiętam, że przed klubowymi kolegami, dociekającymi powodu tej niesławnej porażki, usprawiedliwiałem się rzekomym niedoczasem...

Nauczka, którą dostałem, pozwoliła mi przynajmniej nabrać dystansu do wzorów szachowej mody *haute couture*. Oczywiście taka postawa jest obciążona ryzykiem, że człowiek nie wzniesie się ponad swój skromny poziom. Lecz co począć, gdy młodego gracza hamują najbardziej elementarne (czytaj: naiwne) obiekcje? Tak na przykład zdarzyło się mnie, przymierzającemu się do wariantu Czigorina w partii hiszpańskiej. Po posunięciach **1.e4 e5 2.Sf3 Sc6** domorośli nauczyciele młodzieży zwykli uzasadniać wyższość **3.Gb5** nad **3.Gc4**, nie tylko opierając się



na konkretnych wariantach, ale przywołując autorytet Paula Keresa, wybitnego teoretyka i zarazem wybornego znawcy partii hiszpańskiej. W swojej fundamentalnej *Teorii debiutów szachowych* (1954) tak oceniał wartość 3.Gc4: „To rozwijające posunięcie białych niewątpliwie odpowiada zasadniczym postulatom teorii debiutów, ale ma ten minus, że jest niedostatecznie agresywne i pozwala czarnym na spokojny rozwój. Głównym założeniem debiutowej strategii białych po posunięciu 2.Sf3 powinna być nie obrona punktu d5, ale atak na punkt e5. To, że posunięcie w tekście atakuje między innymi punkt f7, jest nieistotne i nie daje białym żadnej przewagi”. Uwaga powyższa, siłą rzeczy, odsyła nas do partii hiszpańskiej, której atutem jest to, że po 3.Gb5! (znak Keresa) „czarne nie mogą już dowolnie wybierać swych dalszych posunięć rozwojowych i muszą cały czas liczyć się z groźbą Gxc6, a następnie Sxe5”. Jeśli tak, to z punktu widzenia profana czarne powinny się przed tym chronić, stosując klasyczną albo ulepszoną obronę Steinitza, lub też organizując kontrgrę przez 3...Sf6 lub 3...Gc5. Nieoczekiwanie jednak w tym miejscu czarne najczęściej wybierają 3...a6, prowokując przeciwnika. Tu kolejna niespodzianka, ponieważ białe, zamiast bezzwłocznie zrealizować swoją groźbę, wolą zagrać 4.Ga4, jakby w słusznym przewidywaniu, że 4.Gxc6 wcale nie pozwala na zdobycie pionka e5. Po dalszym 4...Sf6 można byłoby się spodziewać naturalnej odpowiedzi 5.d3, lansowanej jeszcze przez Adolfa Anderssena (1858) i wskrzeszonej w naszej epoce przez Magnusa Carlsena (2007). Jednakowoż najbardziej popularnym ruchem pozostaje 5.O-O, co po 5...Ge7 6.We1 b5 7.Gb3 d6 8.c3 O-O 9.h3 Sa5 10.Gc2 c5 11.d4 Hc7 prowadzi do głównej pozycji wariantu Czigorina, rozgrywanego niezliczoną ilość razy przez najwybitniejszych od ponad stulecia.



Narzuca się pytanie, cóż tak onieśmieliło naszego prostaczka, że nie zdołał postawić ani kroku na jednym z najżyźniejszych obszarów w historii szachów. Odpowiedź wiąże się z egzotyczną wędrówką białego gońca: Gf1–b5–a4–b3–c2. Oto figura, której przypisywano bezpośredni nacisk na pozycję czarnych, po długiej marszrucie ukrywa się za własnymi pionami, wypełniając raczej sztabowe niż frontowe powinności! Dziwne. A przecież żaden profesjonalista nie uważa tego za osobliwość. Najwiśdoczniej sposób myślenia uznanych autorytetów różni się od przasnej, zagrodowej logiki przeciętnego szachisty.

W latach dziewięćdziesiątych, w trakcie przyjacielskiej pogawędki, Dawid Bronstein demonstrował mi jedną ze swoich znanych humoresek, partię Bronstein–Rojahn (Moskwa 1956): **1.e4 e5 2.Sf3 Sc6 3.Gc4** (a jednak można i tak!) **3...Sf6 4.Sg5 d5 5.exd5 Sa5 6.d3 h6 7.Sf3 e4 8.dxe4?! Sxc4 9.Hd4 Sb6 10.c4** (ocena tej pozycji według programu Stockfish 15 wynosi – 3,05 na korzyść czarnych) – i białe... wygrały. Skorzystałem przeto z okazji, by zwierzyć się ze swych zawstydzających trudności z aplikacją klasycznej idei Ruya Lópeza. Arcymistrz odniósł się do moich wywodów z delikatnym pobłażaniem. Zważając, by mnie zbyt nie urazić, tłumaczył w duchu Keresa, że strategiczna głębia tego debiutu nie dla każdego bywa dostępna, toteż słabsi gracze zupełnie sobie nie radzą z jego subtelnościami. „Intuicja natomiast dobrze podpowiada panu – pocieszał mnie Dawid Jonowicz – że nie należy grać tego, czego się nie rozumie”.

Zapamiętałem sobie tę maksymę i wielokrotnie hołdowałem jej w praktyce. Tym łatwiej było zapomnieć o pseudoproblemie hiszpańskiego gońca. Do czasu. W roku 2022 przypadkowo natrafiłem na blog arcymistrza Igora Smirnowa pod atrakcyjnym tytułem *Chess Openings: Ruy Lopez. Ideas, Theory and Attacking Plans*. Wspomnienia wróciły. Może stary człowiek dowie się wreszcie czegoś, co kiedyś było niezrozumiałe dla młodzika? Z rosnącym zaciekawieniem śledziłem kolejne ruchy w systemie Czigorina, aż wreszcie doszło do znajomej pozycji po 9.h3. W tym momencie ekran począł emanować pięknymi kolorami. Żłota, świetlista linia rozwinęła się pomiędzy gońcem b3 a atakowanym przez niego punktem f7. Jakby dla podkreślenia siły gońca jego graficzny symbol zaczęła pulsować błękitną aureolą. Naprawdę przyjemnie było to oglądać. Szkoda tylko, że tak krótko. Po 9...Sa5 biały goniec natychmiast dał nura za swoją pionową fortyfikację (10.Gc2), skłaniając obserwatora



do namysłu, jaką mianowicie wyższość w grze środkowej ma to ustawienie nad presją wywieraną na diagonalach f1–b5 i c4–f7. *Déjà vu!*

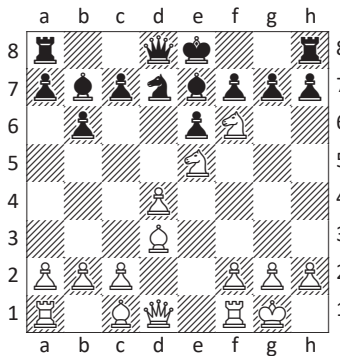
Nie minął rok od wyprawy nad Bled, a w naszym warszawskim klubie świętowaliśmy sensacyjne wydarzenie: pierwszą po wojnie wizytę w ojczyźnie Mieczysława vel Miguela Najdorfa. Arcymistrz, wyraźnie wzruszony i szeroko, po swojemu, uśmiechnięty, zanim przystąpił do symultany zegarowej na dziesięciu szachownicach, przypomniał nam kilka efektownych zwycięstw ze swojej kariery. Rozpoczął naturalnie od przedwojennego, rodzimego podwórka. Wspomnienie partii z lokalnym rywalem można byłoby nazwać sentymentalnym, gdyby nie jej naznaczony okrucieństwem finał.

Mieczysław Najdorf – Gliksberg

Łódź 1929

1.e4 e6 2.d4 d5 3.Sc3 dxe4 4.Sxe4 Sd7 5.Sf3 Ge7 6.Gd3 Sgf6 7.O-O b6
8.Se5 Gb7

Logiczny przebieg tej partii zrobił na słuchaczach tym większe wrażenie, że arcymistrz nie skąpił komentarzy. Najpierw pochwalił nas za samą znajomość nazwy debiutowego systemu. Jakżeby inaczej: po tylu latach w Warszawie wielki Najdorf przypomina wariant wprowadzony do praktyki przez wielkiego Rubinsteina. Potem zwrócił uwagę na spokojny, żeby nie powiedzieć: statyczny, zarys otwarcia. Obie strony wyprowadziły figury na naturalne placówki, nic jeszcze nie zapowiadało burzy. Następnie cierpliwie wyjaśniał, dlaczego złe byłoby posunięcie 8...Sxe5, zalecane przez grupkę profanów w odpowiedzi na 8.Se5. Po **9.Sxf6+** doszedł do pozycji na diagramie:



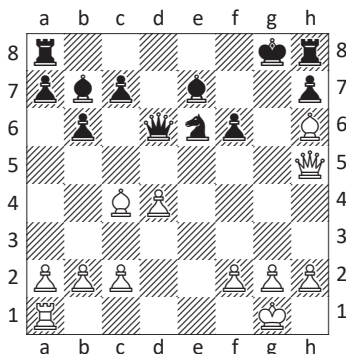
„Zabić skoczka można na trzy sposoby. Który z nich wybrać?” – zapytał prześwietny prelegent. Konserwatyści doradzali prozaiczne odbicie skoczkiem, awangardziści proponowali 9...Gxf6, podczas gdy słabiej wyedukowana większość słuchaczy upierała się przy wzięciu pionem 9...gxf6 („owszem, nieco się osłabiamy, ale biały skoczek musi uciekać”).

Najdorf wcale nie zamierzał tłumić dyskusji, jaka wśród nas rozgorzała. Cierpliwie czekał na jej zakończenie. Z jego mowy ciała można było wyczytać, że również dla niego wybór najlepszego posunięcia nie jest łatwy. Gdy w końcu hałaśliwy wybór sali padł na **9...gxf6**, arcymistrz bez pośpiechu odtworzył egzekucję sprzed trzydziestu lat.

10.Sxf7! Kxf7 11.Hh5+ Kg8 12.We1 Sf8 13.Wxe6?

Dziś wiemy, że do wygranej prowadzi tylko 13.Gh6 Hd5 14.Hg4+ Sg6 15.Gxg6 Hxg2+ 16.Hxg2 Gxg2 17.Gh5 +- i dalej np. 17...Gd5 18.We3 Gd6 19.c4 Gxc4 20.Wc1 Gd5 21.Wcc3 z nieuchronnym matem.

13...Sxe6 14.Gc4 Hd6 15.Gh6



15...Gf8?

Remis wciąż dawało 15...b5 albo 15...Wd8.

16.We1+- (czarne już nie mogą uniknąć mata) **16...Gc8 17.He8 Gd7 18.Wxe6! Wxe8** (lub 18...Hd5 19.Gxd5 Wxe8 20.Wxe8+ Ge6 21.Gxe6#) **19.Wxe8+ Ge6 20.Gxe6+ Hxe6 21.Wxf8 – mat.**

Wszyscy byliśmy oszołomieni tą jego katowską biegłością. Jedyne siedzący obok mnie kolega N. poskapał Najdorfowi oklasków i miał ku temu swoje powody. Półgłosem zwierzył mi się z niepowodzenia, jakie go spotkało poprzedniej niedzieli w meczu Legion III – Politechnika II.